

□ Czas czytania: 27 min.

*Podróż do miasta ognia to jeden z najśłynniejszych „snów” św. Jana Bosko, opowiedziany jego chłopcom 3 maja 1868 roku. W tej dramatycznej wizji wychowawca, w towarzystwie tajemniczego „człowieka w czapce”, przemierza opustoszały krajobraz aż do bastionów piekła, gdzie widzi znanych sobie młodych ludzi wpadających w niewidzialne sidła i wieczne płomienie. Każdy epizod ma symboliczne znaczenie moralne: nici reprezentują ludzki szacunek, noże modlitwę, a spiżowe bramy konsekwencje grzechu. Ksiądz Bosko przekształcił lęk ze snu w katechezę, przestrzegając swoich uczniów przed nieposłuszeństwem, nieczystością, chciwością i lenistwem, a jako drogi zbawienia wskazał sakramenty, nabożeństwo maryjne i posłuszeństwo. Opowieść pozostaje niezrównanym dokumentem jego gorliwości duszpasterskiej i żarliwej miłości wychowawczej.*

W niedzielę wieczorem 3 maja, w uroczystość Opieki św. Józefa, Ksiądz Bosko podjął na nowo opowiadanie tego, co widział w snach.

– Muszę, tak rozpoczął, opowiedzieć wam inny sen, będący właściwie następstwem tych, o których już słyszeliście w czwartek i piątek, a które mnie tak bardzo wyczerpały, że nie mogłem już dłużej wytrzymać. Wy nazywajcie to snami, albo inaczej... zresztą nazywajcie je, jak chcecie.

Mówiłem wam o strasznym zjawieniu się smoka, który w nocy 17 kwietnia chciał mnie połknąć i jak przy jego zniknięciu tajemniczy głos mi powiedział:

– Dlaczego nie mówisz?

Ja obróciłem się w stronę, skąd głos pochodził i ujrzałem przy swoim łóżku jakąś postać, pełną szlachetnej godności. Zrozumiawszy powód tej nagany, spytałem:

– A cóż mam powiedzieć naszym chłopcom?

– To, co widziałeś i słyszałeś w ostatnich snach, a zwłaszcza to, co chciałeś poznać i co ci objawionym zostanie przyszłej nocy.

I znikł.

Cały dzień następny myślałem z trwogą o ciężkiej nocy, która mnie czeka, a gdy nadszedł wieczór, nie mogłem się zdecydować, aby pójść na spoczynek. Czytałem przy biurku aż do północy. Przerażeniem napęłniała mnie myśl, że mam jeszcze zobaczyć tyle strasznych obrazów. Wreszcie przemogłem się i poszedłem spać. Aby nie zasnąć zbyt prędko oraz z obawy, by wyobrażenia nie uniosła mnie do zwykłych widzeń, oparłem o mur poduszkę tak, że raczej siedziałem na łóżku, niż leżałem. Lecz natychmiast przy takim zmęczeniu niespostrzeżenie zasnąłem.

I oto nagle zobaczyłem w pokoju w pobliżu łóżka człowieka z nocy poprzedniej, który mi powiedział:

– Wstań i chodź ze mną!

Odrzekłem:

– Proszę cię na miłość Boską, daj mi spocząć, taki jestem zmęczony! Patrz! Od kilku dni dręczy mnie ból zębów. Pozwól mi odpocząć. Miałem sny okropne, siły mnie opuszczają.

Mówiłem to również z tego względu, że pojawienie się tego człowieka jest dla mnie zawsze zapowiedzią wielkiego niepokoju, wyczerpania i strachu. A on na to:

– Wstań, bo nie ma chwili czasu do stracenia.

Wówczas wstałem i poszedłem za nim. Po drodze zapytałem go:

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Chodź, a zobaczysz.

I zaprowadził mnie w jakieś miejsce, gdzie dokoła rozciągała się pusta, szeroka płaszczyna. Nigdzie nie było widać końca tej niezmierzonej przestrzeni. Była to prawdziwa pustynia. Ani żywej duszy dokoła. Nie widziałeś tam ani drzewa, ani strumienia, tylko trawa żółta i spalona potęgowała smutek, jaki wionął z tego krajobrazu. Nie wiedziałem, ani gdzie jestem, ani co mam czynić. W pewnej chwili straciłem z oczu swego przewodnika. Przestraszyłem się, że zabłądzę. Nie było tam ani księdza Rua, ani księdza Francesia, w ogóle nikogo. Aż wreszcie ujrzałem przyjaciela, który szedł mi naprzeciw. Odetchnąłem. Pytam go zaraz:

– Gdzie jestem?

- Chodź ze mną, a zobaczysz.

- Dobrze, pójdę z tobą.

On ruszył pierwszy, a ja postępowałem za nim w milczeniu.

Po długiej i uciążliwej podróży Ksiądz Bosko myśląc, że musi przejść to całe niezmierne pustkowie, rzekł półgłosem do siebie:

- Biedne moje zęby! Biedne moje spuchnięte nogi!

Aż oto nagle ukazała się przede mną droga. Wówczas przerwałem milczenie, zwracając się do swego przewodnika:

- A teraz dokąd mamy zamiar się udać?

- Na razie tędy, odrzekł lakonicznie.

Weszliśmy, więc na tę drogę. Była piękna, szeroka i wyłożona doskonale wspaniałymi płytami kamiennymi. Po obu stronach na brzegach rowu pysznie się rozrastały dwa rozkoszne żywopłoty, zielone i pokryte ślicznymi kwiatami, Zwłaszcza róże ze wszystkich stron wybijały się z pod liści. Droga ta na pierwszy rzut oka wydawała się gładką i przyjemną więc też puściłem się nią, niczego nie podejrzewając. Jednak w ciągu podróży

zauważyłem, że się nieznacznie obniża i chociaż nie wyglądała na spadzistą, ja wszakże podążałem nią z taką łatwością, jakby mnie ktoś unosił powietrzem. Zdawało mi się, że idę naprzód, prawie nie ruszając nogami. Pochód nasz odbywał się szybko. Zastanawiając się jednak, że powrót taką długą drogą i pod górę będzie bardzo trudny i męczący, rzekłem do przyjaciela:

- A jakże się dostaniemy z powrotem do Oratorium?

- Niech cię o to głowa nie boli, odrzekł. Bóg jest wszechmogący i chce, żebyś

szedł naprzód. Ten, który cię prowadzi i nakazuje iść naprzód, potrafi też wyprowadzić cię z powrotem.

Droga opuszczała się ciągle. Postępowaliśmy wśród kwiatów i róż, gdy na tej

samej ścieżce ukazało się za mną bardzo wielu chłopców z Oratorium z wielką gromadą towarzyszy, nigdy przeze mnie niewidzianych, którzy otoczyli mnie dokoła. Podczas gdy im się przyglądałem, oto raz jeden, to znowu drugi padał na ziemię i w tej chwili jakaś niewidzialna siła porywała ich po strasznej pochyłości, widniejącej z oddali, a która wpadała następnie do ognistego pieca. Pytam swego towarzysza:

- Jaki jest powód tego, że ci chłopcy tak się przewracają?
- Zbliź się jeszcze trochę! odrzekł mi.

Zbliżyłem się i zauważyłem, że chłopcy szli wśród wielu pętli i sieci. Jedne z nich były tuż przy ziemi, drugie na wysokości głowy. Te były niedostrzegalne. Wielu

chłopców idąc dostawało się w sieci, nie przeczuwając i nie walcząc wcale z tym niebezpieczeństwem. Z chwilą, gdy zostawali schwytani, skakali do góry, chwilę leżeli na ziemi z nogami w powietrzu, a wreszcie, podniósłszy się, rzucali się na złamanie karku w kierunku przepaści. Ten został schwytany za głowę, ten za szyję, to znów za ręce lub ramię inni za nogę, za boki, a wszyscy natychmiast z nadzwyczajną szybkością lecieli ku przepaści.

Sieci rozrzucone po ziemi, wyglądały jak puch niewidzialny, podobny do nici pajęczyny, a stąd wydawało się, że nie są zdolne uczynić nic złego. Widziałem wszakże, że nawet chłopcy, schwytani przez te sieci, prawie wszyscy padali na ziemię. Zdziwiłem się, a przewodnik mi powiedział:

- Wiesz, co to jest?
- Zdaje się, że nic więcej, jak trochę pajęczyny.
- Owszem nic więcej, potwierdził a oznacza to wzgląd ludzki.

Widząc jednak, że cały czas wielu wpadało w te sieci, spytałem:

- Jakże te sieci mogą z wiązać taką moc chłopców? Jaka siła ich porywa?

A on na to:

- Zbliź się jeszcze więcej, patrz, a zobaczysz.

Patrzyłem przez chwilę:

- Ależ ja nic nie widzę!
- Przypatrz się jeszcze lepiej, powtórzył swe polecenie.

Podniosłem więc jedną z tych pętli, pociągnąłem ku sobie i spostrzegłem się, że końca nie widać. Szarpnąłem jeszcze mocniej, lecz i tak nie mogłem stwierdzić, gdzie ta nić się kończy, owszem poczułem, że ja sam jestem schwytany. Poszedłem wówczas za tą nicią i dostałem się do gardzieli olbrzymiej jaskini. Zatrzymałem się, ponieważ nie uśmiechało mi się wcale wejście do otchłani, szarpnąłem za sobą tę nić i zdawało mi się, że trochę popuściła, ale trzeba było wielkiego wysiłku. Aż oto, kiedy już o spory kawałek się cofnąłem, powoli wypełznął z głębi straszny potwór, którego widok napełniał mnie przerażeniem. Trzymał on silnie w zębach koniec powroza, do którego przywiązane były wszystkie te sieci i pętle. On to był, który każdego, co się w te sieci zaplątał, natychmiast porywał ku sobie. Pomyślałem: Na próżno walczyć siłą z tym ohydny straszylem, ponieważ go nie pokonam. Raczej wezmę się do niego krzyżem św. i aktami strzelistymi...

Zbliżyłem się powtórnie do swego przewodnika, który mi rzekł:

- Teraz wiesz, co to za jeden?
- Ach, z pewnością, że wiem! Jest to szatan, który zarzuca sieci, aby moje dzieci ściągnąć do piekła.

Przyglądałem się uważnie tym sznurom i widziałem, że każdy ma swoją nazwę.

*Sieć pychy, nieposłuszeństwa, zazdrości, szóstego przykazania, kradzieży, obżarstwa, lenistwa, gniewu*, itd. Następnie cofnąłem się nieco, aby zobaczyć, które z tych sieci zagarniają najwięcej chłopców i przekonałem się, że nieskromność, nieposłuszeństwo i pycha. Z tą ostatnią złączone były dwie pierwsze. Oprócz tych widziałem jeszcze inne sieci, które też czyniły wielkie spustoszenie, w każdym razie już nie tak straszne, jak dwie pierwsze.

Nieustannie obserwując, zauważyłem wielu chłopców, którzy biegli z większą gwałtownością od innych, i spytałem:

- Dlaczego tak szybko lecą?

- Ponieważ są pociągani sieciami względów ludzkich, brzmiała odpowiedź.

Przyglądając się uważniej, odkryłem rzecz zadziwiającą, a mianowicie to, że wśród sieci jakaś ręka opatrnościowa porozrzuciła tu i tam wiele noży, które miały służyć do ich przecinania i rozrywania. Największy nóż przeznaczony był przeciw pysze, a oznaczał rozmyślanie. Inny nóż też bardzo duży, ale trochę mniejszy od pierwszego, był symbolem dobrze odprawianego czytania duchownego. Oprócz tego były dwie szpady. Jedna z nich oznaczała nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu, szczególnie z częstą Komunią św., a druga nabożeństwo do Matki Najświętszej. Widziałem również młot, czyli spowiedź św. Nie brakło innych noży, które oznaczały nabożeństwa do św. Józefa, do św. Alojzego itd. Tą bronią niemało chłopców zrywało sobie więzy, skoro już zostali skrupowani, albo też bronili się przeciw nim skutecznie.

I rzeczywiście widziałem chłopców, którzy szli wśród tych sieci tak umiejętnie,

że nigdy nie dali się im uwikłać. Raz przechodzili prędko, zanim pętla upadła, to znów kiedy nie dało się tego nieszczęścia odwrócić, umieli się schylić tak, że spadała im na barki lub na plecy, nie czyniąc jednak najmniejszej krzywdy.

Gdy przewodnik się przekonał, że już wszystko zdążyłem zauważyć, polecił ruszyć dalej drogą, dotychczas kwitnącą różami lecz w miarę, jak postępowałem coraz rzadziej ukazywały się one na żywopłocie, natomiast coraz więcej było długich cierni.

W końcu, jak okiem sięgnąć, nie widać było ani jednej róży, a żywopłot cały wyglądał, jak kłębowisko cierni, spalone od słońca pozbawione liści. Następnie z krzaków, rzadkich i wyschłych, wychodziły gałęzie, które czołgając się po ziemi, zaścielały ją dokoła i zasypywały cierniami tak dalece, że z największą trudnością można było posuwać się naprzód. Przybyliśmy do wąwozu, którego krawędzie zakryły przed nami całą okolicę. Droga, która ciągle schodziła na dół, stała się nieznośna, poprzerrywana rowami, pełna wybojów, ostrych krzemieni i zaokrąglonych, wystających głazów. Straciłem z oczu wszystkich swoich chłopców, z których bardzo wielu opuściło tę zdradziecką drogę, obierając sobie inne ścieżki.

A ja szedłem naprzód. A im dalej byłem, tym spadzistość ta stawała się bardziej przykra i bardziej gwałtowna tak, że kilka razy się poślizgnąłem i upadłem jak długi na ziemię, korzystając z tej przerwy, aby chwycić nieco oddechu w piersi. Za każdym krokiem nogi się ugiwały pode mną i zdawało mi się, że w ogóle nóg już nie

mam. Zdyszany i zimnym potem oblany, rzekłem do swego przewodnika:

– Ależ, mój drogi! Nie mogę się już utrzymać na nogach! Jest niepodobieństwem, abym tak zmęczony, jak teraz mógł iść dalej.

Przewodnik nie odpowiedział mi lecz zachęcając swoim przykładem, ruszył w dalszą drogę. Wreszcie widząc, że cały jestem spocony i na śmierć zmordowany,

zaprowadził mnie na małą platformę, tuż przy samej drodze. Usiadłem, odetchnąłem pełną piersią i przez chwilę spoczywałem. W tej przerwie spojrzałem za siebie na drogę, którą już przebyłem. Zdawała się prostopadłą, zasiana była cierniami i niezmiernie kamienista. Spojrzałem w dół na drogę, którą miałem jeszcze przebyć i zamknąłem oczy z przestachu. Zawołałem z rozpaczą:

– Wracajmy, na miłość Boską! Jeżeli jeszcze naprzód pójdziemy, jakże przedostaniemy się do Oratorium? Jest wykluczone, ażebym zdołał potem wspiąć się po tej stromej ścieżce!

A przewodnik odpowiedział mi stanowczo:

– Teraz, gdy już tak daleko zaszliśmy, czy chcesz sam pozostać?

Na tę groźbę zawołałem żałośnie:

– Bez ciebie jakże będę mógł wrócić, albo iść naprzód?

– W porządku, a zatem chodź ze mną, zakończył sprawę przewodnik.

Wstałem i ruszyliśmy na dół. Droga stawała się coraz bardziej stroma tak, że nie sposób było ustać prosto na nogach. Aż oto na dnie tej przepaści, która przechodziła w ponurą dolinę, ukazał się olbrzymi blok kamienny, który na wprost naszej drogi miał bardzo wysoką i mocną bramę. Przybyliśmy na dno przepaści. Owionęło mnie ciężkie, duszne gorąco. Jakiś gęsty, zielony jakby dym unosił się nad tymi murami, poprzerany błyskami krwawych płomieni. Podnoszę oczy na mury, wyższe były nad szczyty górskie. Pytam przewodnika:

– Gdzie my jesteśmy? Co to znaczy?

– Czytaj odrzekł, na tej bramie, a z napisu dowiesz się, gdzie jesteśmy.

Spojrzałem. Nad bramą widniały słowa: *Tu nie znajdziesz odkupienia.*

Zorientowałem się, że stoimy przy bramie piekła. Przewodnik poprowadził mnie dookoła murów tego okropnego miasta. Od czasu do czasu w regularnych odstępach wznosiły się bramy z brązu, podobne do pierwszej, u stóp przepaścistych zboczy, a każda miała odmienny napis: *Odstąpcie, przeklęci, w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego...*

*Wszelkie drzewo, które nie czyni dobrych owoców, będzie wycięte i w ogień wrzucone.* Ja wziąłem notatnik, ażeby spisać te zdania, lecz przewodnik znów mi przeszkodził:

- Zaczekaj! Co robisz?
- Chcę sobie zanotować te napisy.

Nie potrzeba, masz je wszystkie w Piśmie św. Owszem, niektóre z nich kazałeś umieścić pod portykami.

Na ten widok chciałem się stamtąd wydostać i udać się do Oratorium. Zrobiłem już kilka kroków, lecz przewodnik nawet się nie obejrzał za mną. Wobec tego cofnąłem się. Przebyliśmy niezwłocznie głębokie i strome urwisko i znaleźliśmy się ponownie u stóp tej przepaścistej drogi, która nas tu sprowadziła, u podwoi pierwszej bramy. Wtem przewodnik odwrócił się i z twarzą ponurą i skurczoną od bóleści dał mi znak ręką, bym się cofnął.

Drżąc, obejrzałem się za siebie i zobaczyłem na tej karkołomnej drodze w wielkiej odległości jakąś istotę, która niezmiernie szybko zbliżała się ku nam. Po chwili rozpoznałem w niej jednego ze swoich wychowanków. Jego potargane włosy częścią przylegały do głowy, częścią powiewały za nim, targając się na wietrze. Ręce wyciągał naprzód jak ten, który płynąc, chce się ocalić od rozbicia. Chciał się zatrzymać i nie mógł. Uderzał nogami w wystające głązy, lecz te popychały go jeszcze naprzód. Zacząłem krzyczeć:

- Biegnijmy! Zatrzymać go, ratować! i wyciągnąłem ręce ku niemu.

A przewodnik:

- Nie, zostaw go!

- A dlaczego nie mam prawa go zatrzymać?

- Nie wiesz ty, jak straszna jest pomsta Boża? Czyż ci się zdaje, że potrafisz zatrzymać tego, który ucieka przed straszliwym gniewem Boga?

Jednocześnie chłopiec ten, odwracając głowę i patrząc płonącymi oczyma, czy gniew Boży jeszcze go ściga, skoczył w przepaść i zaczął uderzać w bramę z brązu, jak gdyby w swojej ucieczce nie mógł znaleźć lepszego schronienia.

- A dlaczego pytam, ten chłopiec ogląda się wstecz z takim przerażeniem?

- Ponieważ gniew Boży przenika wszystkie bramy piekła i będzie go dręczył nawet pośród ognia.

W odpowiedzi na kołatanie, trzaskając ryglami i łańcuchami, brama się rozwarła. A za nią otwarły się jednocześnie z ogłuszającym hałasem dwie, dziesięć, sto, tysięcy innych, pchnięte kołataniem chłopca, przeniesione jakby trąbą powietrzną niewidzialną, nieodpartą i szybką, jak myśl. Wszystkie te bramy jedna za drugą, chociaż w wielkiej odległości, pozostały przez moment otwarte, a moment ten wystarczył mi, aby w czarnej, dalekiej głębi dojrzeć coś jakby otchłanny otwór pieca, z którego podczas gdy chłopiec w nim się pogrążał, uniosły się kule ogniste. Po chwili bramy zatrzasnęły się z tą samą szybkością, z jaką się otwarły. Wówczas chwyciłem za notes, aby zapisać imię i nazwisko tego nieszczęśnika, lecz przewodnik zatrzymał mi rękę i rzekł:

- Zaczekaj i patrz znowu!

Patrzę, a tu nowy widok. Oto na tej drodze spostrzegłem trzech innych chłopców z naszych zakładów, którzy na kształt trzech głazów szybko staczali się jeden za drugim. Ramiona mieli otwarte i krzyczeli z przerażenia. Gdy spadli na dno, zapukali, czym prędzej do pierwszej bramy. Ksiądz Bosko w tej chwili poznał ich wszystkich trzech. Brama się otworzyła, a z nią tysiąc innych, chłopcy znikli w czarnej otchłani, rozległ się przedłużony łoskot piekielny i bramy się zamknęły. Wielu innych od czasu do czasu wpadało za nimi. Widziałem jednego biedaka, który też zginął marnie, przez przewrotnego towarzysza. Jedni wpadali samotnie, drudzy w towarzystwie; jedni związani między sobą za ręce, inni swobodni, ale w pobliżu siebie. Wszyscy mieli wypisany na czole swój grzech. Gdy przebiegali koło mnie, ja wołałem na nich żałośnie, lecz bramy się zamykały i zapadała cisza grobowa.

- Oto główna przyczyna, że się tylu potępia: zawołał mój przewodnik, źli towarzysze, złe książki i przewrotne przyzwyczajenia!

Sieci, które poprzednio widziałem, ściągały chłopców do przepaści. Widząc, że tylu ich wpada i końca tego nie widać, rzekłem z rozpaczą w głosie:

- Czyż, więc nie na próżno pracujemy w naszych zakładach, jeśli tylu chłopców tak okropnie kończy? I nie będzie ratunku, aby uchronić od zguby tyle dusz?

Przewodnik odrzekł mi na to:

- To jest ich stan obecny i gdyby umarli, bez wątpienia znaleźliby się tutaj.

- O, zatem pozwól mi zapisać ich nazwiska, abym mógł ich nawrócić i skierować na drogę do nieba.

- I zdaje ci się, że te upomnienia poskutkują? Na jedną chwilę przestroga ich zatrwoży, ale potem przejdą nad nią do porządku dziennego, mówiąc: To był sen! i staną się jeszcze gorszymi, niż wcześniej. Inni widząc, że są odkryci, zaczną uczęszczać do sakramentów św., lecz ta sprawa nie będzie ani dobrowolna, ani zasługująca, ponieważ nieodpowiednio wykonana. Jeszcze inni pójdą do spowiedzi tylko z chwilowego strachu przed piekłem, lecz nie wyrzucą z serca przywiązania do grzechu.

- Więc dla tych nieszczęśników nie ma przebaczenia? Daj mi jakąś szczególną radę, aby ich zbawić.

- Oto ona: mają swych przełożonych, niech ich słuchają; mają reguły, niech się do nich stosują; mają sakramenty, niech do nich uczęszczają.

W tej chwili runęła nowa gromada chłopców i bramy, jak zwykle, otwały się na moment.

- I ty wejdź do wnętrza! Popchnął mnie przewodnik.

Wzdrygnąłem się przerażony. Moim jedynym pragnieniem było wrócić do Oratorium, aby napomnieć chłopców i powstrzymać resztę przed nieuchronną zgubą. Ale przewodnik nalegał:

- Wejdź, aby zobaczyć jeszcze jedną rzecz. Lecz powiedz, chcesz iść sam, czy też ze

mną? Mówił to, jako że wiedział o słabości moich sił, a jednocześnie o konieczności swojej dobroczynnej obecności. Odpowiedziałem mu na to:

– Tam, samemu, w to okropne miejsce? Bez twojej pomocy i poparcia? Któż potrafi mi wskazać drogę powrotną? I w tej chwili poczułem; jak odwaga wstępuje mi w serce, gdyż pomyślałem, sobie:

– Zanim się pójdzie do piekła, trzeba stawić się na sąd, a ja jeszcze na sądzie nie byłem!

Odrzekłem przeto:

– Możemy wejść!

Weszliśmy do ciasnego i straszego korytarza. Lecieliśmy, jak na skrzydłach. Nad każdą bramą wewnętrzną jaśniały posępnym światłem groźne napisy. Gdy się skończył korytarz, wyszliśmy na olbrzymie, ciemne podwórze w głębi, którego znajdowały się drzwiczki ciężkie i mocne i tak brzydkie, że gorszych już nie widziałem, a nad nimi unosił się napis: *Pójdą niebożni w ogień wieczny*. Całe wnętrze i mury pokryte były napisami. Poprosiłem swego przewodnika, aby mi pozwolił je przeczytać, a on mi odparł:

– Jak ci się żywnie podoba.

Wówczas zacząłem je przeglądać. W jednym miejscu przeczytałem: *Rzucę ogień w ciała ich, aby płonęli na wieki. Dręczyć się będą dniem i nocą na wieki wieków*. A gdzie indziej: *Tutaj jest społeczność złych na wieki wieków*. Na innych miejscach: *Nie masz tu żadnego porządku, lecz przerażenie wieczne tu mieszka. Dym męki ich na wieki wstępować będzie. Nie masz pokoju bezbożnym. Płacz i zgrzytanie zębów*. Podczas gdy ja obchodziłem dokoła czytając napisy, przewodnik, który przystanął na środku podwórza, zbliżył się do mnie i rzekł:

– Od tego miejsca nikt już nie może mieć towarzysza, który by go podtrzymywał,

przyjaciela, który by go pocieszał, nikt już nie może mieć serca kochającego, współczującego spojrzenia, życzliwego słowa. Przeszliśmy granicę. A ty chcesz to zobaczyć, czy też i doświadczyć?

– Chcę tylko zobaczyć! Odrzekłem.

- Chodź więc ze mną.

I wziął mnie za rękę i zaprowadził do drzwiczek, które sam otworzył. Prowadziły one na korytarz w głębi, którego znajdowała się obszerna jaskinia, zamknięta szerokim oknem z jednego kryształu, sięgającym od posadzki aż do sklepienia, przez które można było widzieć wszystko, co się wewnątrz dzieje. Przystąpiłem próg i nagle się zatrzymałem, zdjęty nieopisanym przerażeniem. Ujrzałem przed sobą coś na kształt niezmierniej jaskini, która gubiła się w dalekich, mrocznych zakrętach i wgłębieniach, jakoby we wnętrzu gór, cała pełna ognia lecz nie tak, jak widzimy na ziemi, że płomienie chwieją się i błyskają, gdyż tam wszystko było rozżarzone i białe od wielkiego gorąca. Mury, sklepienia, posadzki, żelazo, kamienie, węgiel, wszystko było rozpalone, drżące i jaskrawo białe od żaru. To pewne, że gorąco przechodziło tysiące i tysiące stopni lecz niczego nie pochłaniało, niczego nie paliło. Tej jaskini nie mogę wam zresztą opisać w całej jej okropnej rzeczywistości.

Gdy stałem jeszcze skamieniały z wrażenia, oto z pobliskiej czeluści wyszedł w największym pędzie jakiś chłopak, który zdawał się niczego nie widzieć dookoła siebie, wydał okrzyk, mrozący krew w żyłach, jak ten, który ma skoczyć do jeziora rozpalonej miedzi, runął do wnętrza, zbiełał, jak cała jaskinia i pozostał nieruchomym, a tylko przez chwilę zajękło echo jego konającego głosu.

Pełen zgrozy, przypatrzyłem się nieco temu chłopcu i zdawało mi się, że jest jednym z Oratorium, jednym z moich synów.

- Lecz czyż on nie jest jednym z moich chłopców? Zwróciłem się do przewodnika. Czyż nie jest to ten a ten?

- Och tak, odrzucił niechętnie.

- Ale dlaczego nie zmienia swej pozycji? Dlaczego się nie pali, mimo iż tak jest rozpalony?

A on mi na to:

- Chciałeś to wszystko widzieć, a więc nie pora na rozmowy. Patrz, a zobaczysz. Zresztą każdy ogniem posolony będzie i każda ofiara solą posypana będzie.

Zaledwie znowu zwróciłem oczy na ten straszny obraz, oto inny chłopiec z rozpaczliwą wściekłością i błyskawicznie szybko nadbiega i skacze do tej samej

jaskini. I on kiedyś należał do Oratorium. Zaledwie upadł, już się więcej nie ruszył. On również wydał jeden jedyny rozdzierający, przeraźliwy okrzyk, który zlał się z ostatnim echem głosu tego, który tu dostał się pierwszy. Po nim przybywali w ten sam sposób inni, liczba ich coraz bardziej rosła, a wszyscy wydawali ten sam okrzyk i nieruchomieli, rozżarzeni do białości, jak ci, którzy ich poprzedzili. Zauważyłem, że pierwszy pozostał z ręką w powietrzu i nogą, podobnie wzniesioną do góry. Drugi zgiął się do samej ziemi. Jeden miał nogi w powietrzu, drugi twarz przy ziemi. Inni jakby wisieli, dotykając się ziemi tylko ręką lub nogą, ci siedzieli lub leżeli rozciągnięci na ziemi, tamci opierali się na boku, inni na nogach, lub kolanach, rękoma chwytając się za włosy. Był to niemały zastęp chłopców, jakby posągów, w pozycjach, z których jedna była boleśnieszka od drugiej. Wielu i wielu dostało się do tego pieca, a byli to chłopcy, których częściowo znałem, a częściowo jeszcze nie. Przypomniały mi się wówczas słowa Pisma św., że jak kto wpadnie do piekła, tak pozostanie na wieki: Drzewo, w którekolwiek miejsce upadnie, tam leżeć będzie. Przerazenie rosnęło we mnie i ścinało mi serce lodem, aż wreszcie zapytałem przewodnika:

– Lecz czyż oni, biegnąc tak szybko, nie wiedzą, że biegną tutaj?

– O, z pewnością wiedzą, że idą w ogień wieczny. Otrzymywali tysiączne przestrogi, lecz biegną i to dobrowolnie z powodu grzechu, którego nie chcą sobie obrzydzić i porzucić stanowczo. Wzgardzili i odrzucili miłosierdzie Boże, które nieustannie wzywało ich do opamiętania się, aż wreszcie znieważona sprawiedliwość Boga żywego odrzuca ich, ściga i prześladuje tak, że nie mogą się oprzeć, aż w tym miejscu.

– Och, jakaż musi być rozpacz tych nieszczęsnych, którzy nie mają żadnej nadziei wybawienia! Zawołałem.

– Chcesz poznać szaleństwo i wściekłość wewnętrzną ich dusz? Podejdź ku nim, odrzekł mi przewodnik.

Przysunąłem się o kilka kroków do okna i zobaczyłem, że wielu z tych nieszczęśników okładało się szturchańcami i dzikimi uderzeniami i gryzło się na podobieństwo psów wściekłych. Inni darli sobie twarz, kęsały ręce, rozdzierali ciało i ze wzdrganiem rzucali je precz od siebie. W tej chwili całe sklepienie jaskini stało się przezroczyste, jak kryształ i zajaśniało przez nie skrawek nieba wraz z świetlanymi postaciami kolegów zbawionych na wieki. A ci potępieńcy zadrżeli z dzikiej zazdrości i wycie okropne podniosło się w przestworze, gdyż ci sprawiedliwi swego czasu

uchodzili przed nimi za przedmiot wzdargy i pośmiewiska.

Spytałem przewodnika:

– Powiedz mi jeszcze, dlaczego nie słyszę żadnego głosu?

– Przybliź się jeszcze! odpowiedział.

Stałem tuż przy kryształce okna i usłyszałem, jak jedni wyli i płakali, wijąc się po ziemi, inni przeklinali i złorzeczyli świętym. Był to istny wicher głosów i krzyków przeraźliwych i pomieszanych, z których niewiele mogłem zrozumieć, zwróciłem się, przeto, do towarzysza:

– Co oni mówią? Co krzyczą?

Odrzekł mi:

– Patrząc na szczęście swoich dobrych kolegów, zmuszeni są wyznać: O, my głupi! Życie ich uważaliśmy za szaleństwo, a koniec ich za hańbę. Oto jako policzeni są między syny Boże, a między świętymi częśćka ich. Zbłądziliśmy przeto z drogi prawdy. Dlatego też wołają: Napracowaliśmy się na drodze nieprawości i zguby. Błądziliśmy po drogach trudnych, drogi zaś Pańskiej nie znaleźliśmy. Do czego nam pomogła pycha? Wszystko to przeszło jak cień. Oto są pieśni żałobne, które rozbrzmiewać będą przez całą wieczność. Lecz daremne krzyki, daremne wysiłki, daremne płacze. Wszelka boleść spadnie na nich! Tu nie masz już czasu, tu panuje tylko wieczność.

Podczas gdy pełen zgrozy, wpatrywałem się w okropny stan wielu moich synów, nagle nowa myśl przebiegła mi przez głowę: Lecz jakże to możliwe, aby wszyscy, co są tutaj, byli już potępieni? Ci chłopcy jeszcze wczoraj żyli w Oratorium!

A przyjaciel do mnie:

– Ci, których tu widzisz, zabili w swej duszy łaskę Bożą i gdyby umarliw tej chwili, albo nie zaprzestali postępować tak, jak postępują obecnie, potępiliby się niezawodnie. Lecz nie traćmy czasu, chodźmy dalej.

Odszedłem z owego miejsca, a przewodnik przez korytarz, który prowadził do głębszego podziemia, zaprowadził mnie do innej pieczary, nad wejściem, której widniały słowa: *Robak ich nie umrze i ogień ich nie zgaśnie. Da Pan wszechmogący*

*ogień i robaki w ciała ich, aby gorzeli i cierpieli na wieki.* Tu widziałem zgryzoty sumienia, o jakże gorzkie! Tych, którzy się wychowali w naszych zakładach. Wspomnienie wszystkich poszczególnych grzechów nieodpuszczonych i sprawiedliwego potępienia, wszystkich tysiącznych, często nadzwyczajnych środków, aby się nawrócić do Boga, aby wytrwać w dobrym, aby zdobyć niebo! Wspomnienie tylu łask obiecanych i otrzymanych od Maryi Najświętszej, niewykorzystanych. Pamięć, że się tak łatwo mogli zbawić, a teraz są zgubieni nieodwołalnie i na wieki! Że czynili tyle dobrych postanowień, lecz ich nie wykonali! Ach, bo przecież, jak mówi przysłowie, dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane! I tam znowu ujrzałem chłopców z Oratorium, których widziałem poprzednio w owym piecu, z których jedni w tej chwili mnie słuchają, drudzy byli już wśród nas i wielu, których nie znałem. Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że wszyscy byli okryci robactwem i wstrętnymi gadami, które ich gryzły i pożerały im serca, oczy, ręce, nogi, ramiona i całe ciało w tak okropny sposób, że słowami nie da się to wyrazić. Stali nieruchomo, wystawieni na wszelkiego rodzaju bóle, i nie mogli się bronić. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i zbliżyłem się do nich, ażeby mnie zobaczyli, w tej nadziei, że będę mógł pomówić z nimi, że mi może coś powiedzą lecz żaden ani nie mówił, ani nawet nie patrzył na mnie. Spytałem swego przewodnika o przyczynę, a on mi wyjaśnił, że na tamtym świecie dla potępionych nie ma już wolności, każdy tam znosi całą karę, nałożoną mu przez Boga i nie może nic zmienić, ani wybrać rodzaju kary i dodał:

– A teraz trzeba, abyś i ty wszedł do tej krainy ognia, którą widziałeś!

– Nie, nie! Odpowiedziałem zmieszany. Aby pójść do piekła, trzeba wpierw być na sądzie, a ja tam jeszcze nie byłem. Nie chcę iść do piekła!

– Powiedz mi! Zapytał mnie towarzysz. Co wolisz, czy pójść do piekła i wybawić swoich chłopców, albo też zostać tu zewnątrz i opuścić ich wśród tylu okropności?

Zaskoczony tym dylematem, odrzekłem:

– Och, moi chłopcy! Ja ich tak kocham i chcę ich wszystkich zbawić. Lecz czy nie da się tego zrobić, żebyśmy ani ja, ani inni nie potrzebowali tam wchodzić?

– Ech! Odpowiedział mi przyjaciel, masz jeszcze czas i oni go mają, bylebyś tylko czynił wszystko, co jest w twojej mocy.

Nabrałem od razu ducha i pomyślałem sobie: Trudy niewiele mnie wzruszają,

byłbym tylko mógł uwolnić od męczarni moich drogich synów.

– A zatem wejdź, zakończ kwestię przewodnik i zobacz dobroć oraz wszechmoc Bożą, która miłośnie używa tysiącznych zabiegów, aby przywieść twoich chłopców do pokuty i zachować ich od śmierci wiecznej.

I wziął mnie za rękę, aby wprowadzić do jaskini. Za pierwszym krokiem znalazłem się naraz we wspaniałej sali z kilkoma drzwiami z kryształu. Na nich w regularnych odstępach wisiały szerokie zasłony, które obustronnie zakrywały drzwi prowadzące do jaskini.

Przewodnik pokazał mi jedną z nich, na której było napisane: *Szóste Przykazanie* i zawołał:

– Przejdźcie tej zasłony, oto przyczyna zguby wiecznej tyłu młodzieńców!

– Lecz czy się nie spowiadali?

– Spowiadali się, ale z grzechów przeciwko pięknej cnocie spowiadali się źle, albo je przemilczali zupełnie. Na przykład ktoś, kto tych grzechów popełnił cztery lub pięć, powiedział jedynie dwa lub trzy. Są i tacy, którzy popełnili jeden taki grzech w dzieciństwie i wstydziło się go zawsze wyznać lub też wyznawali źle i nie mówili wszystkiego w całej rozciągłości. Inni nie mieli odpowiedniego żalu i postanowienia. Byli nawet tacy, co zamiast robić rachunek sumienia, namyślali się, w jaki sposób oszukać spowiednika. A kto umiera w takim stanie, ten przechodzi na listę odrzuconych i tak pozostaje na wieki. Ci tylko, którzy

skruszą szczerze swe serce i umierają z nadzieją zbawienia wiecznego, ci tylko będą wiecznie szczęśliwi. A teraz chcesz zobaczyć, dlaczego Opatrzność Boska cię tu przywiodła?

Podniósł zasłonę i ujrzałem gromadę chłopców z Oratorium, znani mi byli wszyscy z potępionych za ten grzech. Wśród nich byli i tacy, którzy na pozór bardzo dobrze się zachowują. Przynajmniej teraz pozwolisz mi spisać nazwiska tych chłopców, ażebym mógł ich upomnieć z osobna.

– Nie potrzeba, odpowiedział, jak zwykle.

– Cóż więc mam im powiedzieć?

- Głoś przede wszystkim kazania przeciw nieskromności. Wystarczy napomnieć ich ogólnie. Nie zapominaj, że jeśli udzielisz im tej przestrogi, oni wprawdzie obiecują ci poprawę, ale nie zawsze ta obietnica będzie szczerą i trwałą. Aby to osiągnąć, niezbędna jest łaska Boża, której nie zabraknie twoim chłopcom, jeśli o nią prosić będą. Dobry Bóg objawia w sposób szczególny swą potęgę w miłosierdziu i przebaczeniu. Z twojej, zatem strony modlitwy i ofiary. A chłopcy niech słuchają twoich nauk, niech pytają swego sumienia, a ono podszepta im to, co mają czynić.

I tu mówiliśmy przez blisko pół godziny o warunkach koniecznych do dobrej spowiedzi. Przewodnik mój powtórzył w trakcie tego kilka razy podniesionym głosem:

- *Odwrócić!... Odwrócić!...*

- Co znaczy twoje wołanie?

- Zmienić życie, zmienić życie!

Ja, cały zawstydzony i zmieszany na to objawienie schyliłem głowę, aby ochłonać z wrażenia lecz on powiedział:

- Jeszcze nie widziałeś wszystkiego.

Obrócił się w drugą stronę i podniósł inną wielką zasłonę, na której było napisane: *Którzy chcą stać się bogatymi, wpadają w pokuszenie i sidła szatańskie.*

Przeczytałem i rzekłem:

- To nie ma znaczenia dla moich chłopców, ponieważ są ubodzy tak, jak i ja jestem ubogi. Nie jesteśmy bogaci i nie staramy się nimi zostać. Nie myślimy nawet o tym.

Po uchyleniu zasłony, w głębi ukazała się pewna liczba chłopców, wszyscy dobrze mi znani, cierpiących jak ci, których widziałem poprzednio, a on wskazując mi ich, odrzekł:

- Och, to pewne, że ten napis odnosi się i do twoich chłopców.

- Wy tłumacz mi, zatem, co znaczy ten wyraz bogaci?

- Na przykład niektórzy z twoich chłopców mają serce przywiązane do przedmiotu

materialnego tak, że to uczucie odrywa ich od miłości Bożej, a stąd uchybiają przeciw miłości, pobożności i łagodności. Można serce zmarnować nie tylko przez używanie bogactw, lecz także pragnąc ich, tym bardziej, gdy to pragnienie wykracza poza granicę sprawiedliwości. Twoi chłopcy są ubodzy, lecz wiedz, że łakomstwo i lenistwo są najgorszymi doradcami. Są tacy, którzy w domu popełnili nawet znaczne kradzieże i będąc w możności, nie myślą wcale o wynagrodzeniu szkody. Nie brak i takich, którzy za pomocą wytrychów chcą się dostać do sklepika, którzy chcą zbadać pokój Prefekta i Ekonoma, którzy szperają po walizkach kolegów, aby przywłaszczyć sobie rzeczy do jedzenia, pieniądze itd., którzy zbierają na swój użytek zeszyty i książki...

Powiedział mi nazwiska tych i innych i tak ciągnął dalej:

– Niektórzy znajdują się tutaj, ponieważ przywłaszczyli sobie ubrania, bieliznę, koce i płaszcze, które należały do szatni Oratorium, aby je następnie wysłać do swoich domów. Inni z powodu jakiejś ciężkiej szkody, wyrządzonej dobrowolnie i nienagrodzonej. Inni dlatego, że nie oddali rzeczy wypożyczonych albo, że zatrzymali pieniądze, które mieli oddać przełożonemu.

I tak zakończył:

– Ponieważ zaś wskazałem ci te indywidua, napomnij ich i powiedz, żeby się pozbyli bezużytecznych i szkodliwych pragnień, aby byli posłuszni prawu Bożemu i dbali gorliwie o Jego chwałę, inaczej chciwość popchnie ich do gorszych występków, które przyniosą im tylko boleści, śmierć i zatracenie.

Nie chciałem wprost wierzyć, aby za takie rzeczy, które w oczach naszych chłopców uchodzą za fraszki, przygotowane były kary tak straszne. Lecz przyjaciel nie zwrócił uwagi na moje wątpliwości:

– Przypomnij sobie, rzekł, co ci powiedziałem, gdyś przed paru dniami spoglądał na zepsute winogrona! I uniósł inną zasłonę, która zakrywała wielką liczbę naszych chłopców, dobrze mi znanych wychowanków z Oratorium. Na zasłonie widniał napis: *Korzeń wszelkiego zła*. I zaraz mnie spytał:

– Wiesz, co to znaczy? O jakim to grzechu mówi ten napis?

– Zdaje mi się, że chyba o pysze?

– Nie! Brzmiała odpowiedź.

- A przecież zawsze się słyszy, że korzeniem wszystkich grzechów jest pycha.

- Tak! Mówiąc na ogół, pycha jest korzeniem. Lecz w szczególności wiesz, co popchnęło Adama i Ewę do pierwszego upadku, za który zostali wygnani z raju ziemskiego?

- Nieposłuszeństwo!

- Właśnie; a więc nieposłuszeństwo jest korzeniem wszelkiego zła. A na ten temat, co mam powiedzieć swoim chłopcom?

- Uważaj! Chłopcy, których tu widzisz są to nieposłuszni, którzy gotują sobie taki smutny koniec. Wielu i wielu, o których ty myślisz, że poszli na spoczynek, w nocy schodzą na podwórze i nie dbając o zakazy, włóczą się po miejscach niebezpiecznych i po rusztowaniach nowych budynków, narażając na niebezpieczeństwo swoje życie. Niektórzy, lekceważąc przepisy regulaminu idą do kościoła, lecz nie spełniają tam swego obowiązku, zamiast się modlić, zajmują się wszystkim innym, myśląc o niebieskich migdałach, a nawet przeszkadzają innym. Są tacy, którzy starają się rozeprzeć i szukają wygodnego miejsca, ażeby sobie ulżyć, a nawet się zdrzemnąć w czasie nabożeństwa. O innych myślisz, że są w kościele, a oni tymczasem zupełnie gdzie indziej się obracają! Biada temu, który zaniedbuje modlitwę. Kto się nie modli, ten się potępia. Są nawet tacy, którzy zamiast śpiewać święte pieśni i odmawiać modlitwy, czytają książki na pewno nie pobożne, a nawet, co już wstyd i hańba, książki złe i zakazane. I wyliczał różne inne przestępstwa, będące przyczyną wielkich nieporządków.

Gdy skończył, ze wzruszeniem patrzyłem na niego, a potem zapytałem:

- I te wszystkie rzeczy mogę powiedzieć moim chłopcom?

- Tak, możesz im powiedzieć wszystko, co sobie przypominasz!

- A jakiej rady mam im udzielić, aby nie popadli w tak wielkie nieszczęście?

- Wykaż im, że posłuszeństwo także w rzeczach drobnych, okazywane Bogu, Kościołowi, rodzicom i przełożonym, przyniesie im zbawienie.

- A poza tym?

- Powiedz swoim chłopcom, aby się bardzo strzegli lenistwa, gdyż ono było

przyczyną upadku Dawida. Powiedz im, by zawsze byli zajęci, gdyż w ten sposób szatan nie znajdzie chwili wolnej, aby się do nich zbliżyć.

Ja skinięciem głowy przyrzekłem mu to. Tak dalece byłem pod silnym wrażeniem, że z trudnością zdobyłem się na te słowa:

- Dziękuję ci za troskliwość, jaką mnie otaczasz, ale proszę cię, wyprowadź mnie już stąd.

- Chodź ze mną, rzekł mi dobrotliwie i dodając mi otuchy, wziął mnie pod ramię i podtrzymywał przez całą drogę, tak byłem z sił wyczerpany.

Wyszliśmy z tej sali, w mgnieniu oka przebyliśmy straszne podwórze i długi korytarz, a zanim przestąpiliśmy próg ostatniej bramy z brązu, zawołał:

- Teraz, kiedyś już widział męki innych wypadła, żebyś i sam zakosztował trochę piekła.

- Nie! Nie! krzychałem przerażony.

On nastawał, lecz ja się wymawiałem, jak mogłem.

- Nie bój się, pocieszał mnie, tylko spróbuj, dotknij tego muru.

Ja nie miałem odwagi i chciałem się odsunąć, lecz on mnie przytrzymał:

- Jednak koniecznie potrzeba, abyś i ty spróbował! stanowczym ruchem chwycił mnie za rękę i przycisnął do muru:

- Tylko raz go dotknij, przynajmniej tyle, żebyś mógł powiedzieć, że zwiedzałeś miejsce wiecznych mąk i że dotknąłeś się muru piekielnego. Zrozumiesz, co będzie przy ostatnim murze, skoro ten pierwszy jest tak straszny. Widzisz ten mur?

Przyglądałem mu się i zdawało mi się, że jest rozmiarów gigantycznych. A przewodnik mówił dalej:

- Jest to mur tysiączny od tego miejsca, gdzie jest prawdziwy ogień piekła. Tysiąc murów go otacza. Jeden mur od drugiego jest odległy o tysiąc miar długości, a

każda miara wynosi tysiąc mil. Ten jest odległy od prawdziwego ognia o milion mil, a przeto jest zaledwie początkiem właściwego piekła.

Po tych słowach, gdy się cofnąłem jeszcze dalej od muru, chwycił mnie za rękę, otworzył ją siłą i uderzył o kamienie tego ostatniego, tysięcznego muru. W tej chwili uczułem ból tak przejmujący i okropny, że odskoczywszy i krzyknąwszy przeraźliwie, obudziłem się.

Znajdowałem się w postawie siedzącej, a ponieważ ręka jeszcze mnie piekła, zacząłem ją rozcierać drugą, żeby mnie przestała boleć. Za dnia zauważyłem, że ręka faktycznie napuchła. A tak silne było wyobrażenie tego ognia, że skóra na dłoni popękała i odpadła.

Trzeba też wam wiedzieć, że wszystkich tych rzeczy nie opowiedziałem w całej ich realności tak, jak ja je widziałem i jak na mnie oddziaływały, aby was zbytnio nie przestraszać. Wiemy, że Pan Bóg nie mówi o piekle inaczej, jak przez określenia, bo gdyby je przedstawił tak, jak jest nie zrozumielibyśmy z tego ani słowa. Żaden śmiertelnik nie może pojąć tych spraw. Tylko Bóg je zna i może je objawić, komu zechce.

Przez kilka nocy następnych ciągle byłem niepokojony i nie mogłem już wcale spać z powodu przestachu i wyczerpania nerwów. Opowiedziałem wam tylko pokrótce to, co widziałem w bardzo długich snach, przytaczając tylko ich zwięzłe streszczenie. W swoim czasie dodam wam jeszcze coś i o względzie ludzkim i o szóstym i siódmym przykazaniu oraz o pysze. Nie powiem wam nic innego, prócz wyjaśnienia tych snów, ponieważ zgadzają się one wszystkie z Pismem św. i są tylko objaśnieniem do tego, co się na ten temat w nim czyta. W ostatnich dniach opowiedziałem już coś i gdy tylko będę mógł, opowiem wam resztę, wyjaśniając ją odpowiednio.

*(MB IT IX, 166-181, MB PL IX, 151-166)*